

DOM POLSKI

Pismo beletrystyczne i naukowe.

ROK I.



POZNAŃ.
NAKŁADEM REDAKCYI.
1888.



P. II 137

P. II. 137

DOM POLSKI

PISMO BELLETRYSTYCZNE I NAUKOWE

wychodzi w Poznaniu 1, 10 i 20 każdego miesiąca.

Rok I.

— 102 — Poznań 1 stycznia, 1888 r. — 201 —

Nr. I.

Prenumerata roczna wynosi 8 m., półroczna 4 m., ćwierćroczna 2 m. tak dla miejscowych, jak zamiejscowych przedpłacicieli krajowych; dla Galicyi 5 złr. rocznie, 1 złr. 25 cent. ćwierćrocznie, z przesłaniem egzemplarza na miejsce. — Miejscowi przedpłaciele, odbierający „Dom polski“ w ekspedycji, lub w redakcyi, płacą tylko 1,50 mrk. — Zapisywać można na wszystkich pocztach krajowych, a w Poznaniu w ekspedycyi, ulica Podgórna nr. 8 — lub w redakcyi, ulica Wiedeńska, nr. 5, I. piętro. — Przedpłatę ćwierćroczną przyjmuje każda poczta; półroczną, lub roczną tylko ekspedycja, lub redakcyja. — Inzeraty przyjmują się za opłatą 20 fen. od wiersza jednolamowego. — Drukowanych rękopisów nie zwraca redakcyja.

DOM POLSKI

Wydawnictwo „Domu polskiego“ przychodzi istotnie w chwilę, w której tenże dom z zamieszkującą go, daj Boże, by jak najdłużej, rodziną, ze swem ciepłem ogniskiem, staje się jedyną i ostatnią niemal warownią narodowego życia na naszych zachodnich kresach, wyłączną już teraz arką przymierza między ubiegłą przeszłością a narodową przyszłością, której nam się zrzekać nie wolno, a która przy wytrwałości naszej przyswieca nadzieję.

Rozglądając się dokoła, patrząc na tyle ciosów, zadanych ostatnimi czasy naszemu społeczeństwu, widząc tyle zdziałanych niemi ruin, przychodzimy do stwierdzenia smutnej prawdy, że nam samym, że biednym dzieciom naszym coraz ciśnieć na tej nieszczęsnej ziemi, że nam trudno o miejsce dla siebie samych i dla nich, że nam niemięć trudno o owo ciepłe i ogrzewające ognisko dla naszej narodowej tradycyi.

Powoli, jeden za drugim, poczęły się od sporej już liczby lat zamykać normalne, zwykłe wszystkim innym narodowym organizmom i społecznościom kanały oddechowe i warunki życia. Znalazł się dla nas zamkniętym naprzód publiczny urząd; następnie skreślono nasz język w czynnościach publicznych. Przyszła kolej na szkołę. Zadekretoowano proskrypcyą języka polskiego, jako języka wykładowego, pousuwano w znacznej części nauczycieli Polaków. I na tem nie dosyć, skreślono nawet dziecku wiejskiemu w szkółce jego skromną naukę czytania i pisania w języku ojczystym, a i na tem jeszcze nie dosyć, któż nam ręczy wśród obecnie panujących prądów i obecnych okoliczności, że biednej dźwiatwie naszej nie przyjdzie w publicznej szkole zastąpić codziennego „Ojcze nasz“ nakazanem z góry Vater unser, poważnego hymnu Jana z Czarnolasu: „Kto się w opiekę poda Panu swemu“ niezrozumiałem westchnieniem do Boga w obcym jej języku. Zagrożony nasz język, zagrożona nasza ziemia, zagrożony nasz byt. Czyż dla tego zropaczyc i założyć ręce? Nie byłoby to rzeczą godną ani naszej przeszłości, ani naszego narodowego zadania w teraźniejszości, ani naszej przyszłości, która przyswieca tylko tym, co wytrwać umieją. Został nam dom polski, zostało nam ognisko rodzinne polskie, dom polski i rodzina polska o równych obowiązkach i zadaniach, o równych a wskazanych na wzajemne posiłkowanie się środkach przez wszystkie swe stopnie, czy piętra hierarchii społecznej. Dom pański, jakkolwiek na naszych kresach coraz to już większą rzadkością, dwór szlachecki na wsi, zamożny dom mieszczański, czy ubogie

poddasze poczciwego rzemieślnika w mieście; dostatnia siedziba gospodarska, czy uboga chata wyrobnika na wsi, czyż nie stanowią tyleż ogniw jednego i tego samego narodowego łańcucha, wskazanego na solidarność przez smutną wspólność jednego i tego samego kłopotu? Czy syn pałacu, czy syn chaty zagrożeni tutaj wspólnie dotykającym dekretem przymusowego wynarodowienia; wspólny ich też obowiązek, wspólna konieczność obrony. Był czas, że pałace i dwory nasze były siedzibą dobrowolnego wynarodowienia przez kult obcej mowy i obcego obyczaju. Dalekie wprawdzie to czasy. Pokuta była ciężka i bolesna. W iluż to tych pałacach, dworach i otaczających je włościach została zaledwie tradycya tylko przemieszkujących w nich niegdyś panów polskich! Niechby przynajmniej te, które w polskiem pozostały ręku, stały się odąd ogniskiem narodowego kultu dla własnych swych mieszkańców, dla mniej zamożnego otoczenia swego. Pod dach polskiego domu nie sięgnie zakaz, zabraniający nauki ojczystej mowy, znajomości ojczystych dziejów, czci pięknej i bogatej literatury naszej. Matce Polce nie zabroni nikt tutaj kołysać do snu polskie dziecię polską pieśnią; uczyć je, gdy podrośnie, polskiego pacierza, oswoić jeszcze później z imionami Chrobrego, Czarnieckiego i Kościuszki; zaopatrzyć wbrew temu i mimo to, co gdzieś indziej usłyszy, w polskie książki, w polskie czasopisma, w utwory Mickiewicza, Słowackiego, Krasińskiego. Taka moralna zbroja, wypracowana dla dziecka polskiego ręką domu polskiego, nada młodzieńcowi hart i bezpieczeństwo na całe przyszłe życie, namaści go, wbrew wszystkiemu, co go jeszcze spotkać może, na wiernego syna ziemi, która go wydała. Otoż, czego się spodziewamy, na co prawo mamy liczyć w zamożnym domu polskim na wsi, jakich przecież mamy jeszcze mimo wszystkiego, co nas spotkało, spory zastęp. Obowiązki jego dla wieśniaczej chaty, dla dziecięcia owcej zakopconej izby, wskazanego na zapomnienie własnej mowy, nieledwie własnej modlitwy, świętsze teraz i poważniejsze, niż kiedykolwiek. I ta biedna strzecha jest osobnego rodzaju domem polskim, a tem większej opieki godniejszym, iż najliczniejszym. Niechajby tedy i pod tę strzechę, bezpieczną poczciwymi instynktami i uczuciami swoich mieszkańców, bezpieczną prawem nietykalności, zstępowała opieka i pomoc czy to dalszego dworu, czy bliższego a zamożniejszego gospodarza, szerzyła tu światło i świadomość własnego istnienia, uczyła czytać i pisać po polsku, szerzyła znajomość dobrych i pożytecznych książeczek pol-

skich, rozgrzewała polską nauką, znajomością polskich dziejów, polskich królów i polskich Świętych serca ich w podobny sposób, jak rozgrzewają dobrzy rodzice ich zziębnięte członki po powrocie z dalekiej często a zimnej szkoły. Nie mówmy o domu polskim poczciwego rzemieślnika, pracowitego robotnika naszego miejskiego. Serca tu gorąco bijące, chęci jak najlepsze, poświadczone wymownie gromadną a chętną obecnością na wiecach, przeznaczonych obradom nad środkami ocalenia języka polskiego. Jeżeliby tutaj nie dopisywało co, to chyba tylko znów możliwość. Ja zastąpić, jej zaradzić, to już znów rzecz owoych innych, szczęśliwszych pod tym względem domów polskich, a nie będzie obawy o nasz uboższy żywioł miejski. Niechaj dom polski, niechaj rodzina polska nie zapominają swego obowiązku, a wszystkie trudy, kłopoty i ciężkie dolegliwości, jakie nas spotykają, nie będą dla nas początkiem i powodem zagłady, ale ogniową próbą, z której wyjdziemy czyści i zahartowani ciężkimi doświadczeniami ku pociesze własnej, ku zbudowaniu i Szawłowemu nawróceniu tych nawet, którzy się po zarządzonych przeciw nam środkach skuteczności spodziewali.

W tej nadziei, w tem silnem przeświadczeniu rozpoczynamy i my, z naszej strony, pracę dla domu i około domu polskiego, pragnąc być równie użytecznymi pałacowi, jak wieśniaczce strzesze, żądni bratniego węzła niemniej z zamożną zagrodą gospodarską, jak z poddaszem, czy sklepem ubożego robotnika miejskiego. Dom i rodzina: przechowujmy w ich łonie i otoczeniu Żnicz naszego narodowego kultu, którego nam tutaj nikt zgasić nie potrafi, a przetrwamy zwycięzko, co nam zagrażać się zdaje niezwadną klęską. Wiara i wytrwałość! — w tym znaku wytrwajmy, a przetrwamy.

Kazimierz Jarochoński.

DOM POLSKI.

Jest między ludem odwieczne podanie
O rzeszy karłów podziemnych i gnomów.
Co rozłożyli swoje panowanie
Pod urwiskami gór, wśród skał załomów;
I tam, gdzie stopie ludzkiej niedostępna
W głąb ziemi wiedzie kręta, skalna ścieżka,
Na wielkie losy świata obojętna
Pośpna rzesza ziemnych karłów mieszka.
Mieszka i strzeże skarbów: gdy na świecie
Cokolwiek przemoc zdławi i zagarnie,
I łzy, co roni uciśnione dziecię,
I sny młodzieńcze, podeptane marnie,
I dźwięki pieśni rzewnej niepojęte,
Zgłuszone gwarem cheiwej łupów tłuszczy,
I poświęcenia ciche, mężne, święte,
I myśl, co z ludzkich badań się wyluszczy;
Wszystko, co w życia gorączkowym wrzasku,
Choć ziarna pełne, niepłodnie zaginie,
Co kończyć musi, nie mając początku,
Co mogąc wieczność żyć — kona w godzinie,
To wszystko z gruzów podjawszy i zgłiszczy,
Skrzęta dłoń karłów składa w swe zasieki;
Co tam złożone, wraz światłem zabłyszczy
I już klejnotem jest po wszystkie wieki.
Więc to, co w pereł świeci rząd ujętem,
To było niegdyś łąką ludzkiego żalu,
Niezrozumiała pieśń jest tam djamentem,
A czyn niepłodny iskrzy się w opalu.
I ani zgadłbyś, że te ametysty,
Że te szmaragdy, topazy, rubiny,
To niegdyś ludów gościniec ciemisty,
Lub krew serdeczna, przelana bez winy!..

I skarbiec gnomów rośnie w każdej dobie,
Bo na imienia ludzkiego zakałę
Po każdej krzywdzie, po każdej żałobie
Stosy klejnotów piętrzą się pod skałę.
Aż gdy się każda zapełni szzelina,
Na krzywdy miejsca zbraknie w ziemi na dnie,
Sprawiedliwości wybije godzina
I gmach bezprawia z trzaskiem się rozpadnie.
Wówczas klejnoty rozsypią się hojnie
Dla całej ziemi zdobyczą radosną,
Wieczny mir wszędzie po odwiecznej wojnie,
A ziemne karły w olbrzymów wyrosną.

* * *

Czyż polska strzecha nie z baśni pieczarą?
Do której co dnia nędzne, ziemne karły
Odnosim skrzętnie z miłością i wiarą
Siły, co w walce życia obumarły?
To, co zdeptane, zbrukane, zatrute,
To, co zawiędło, zanim się zrodziło,
To, co zamilkło, nim wezbrało w nutę,
To, co przestało być, ach! — zanim było;
To, co po świecie robactwem zaległem,
Zarazy trądem zaszło, albo błotem,
To wszystko pod jej świętym, cichym węglem
Znowu na wieki staje się klejnotem.

.....
.....
.....
.....
.....
.....

d. 28. 12. 87 r.

Józef Kościelski.

NIEROZDZIELNI.

Nowela M. Gawalewicza.

Pamiętam ich, jak gdybym wczoraj jeszcze widział oboje przy stolicku mahoniowym, na balkonie pomiędzy kwitnącymi oleandrami, które były „dumą i pasją“ pana kapitana; pamiętam doskonale jego czerstwą, rumianą twarz, od której odbijały siwe wąsy, jak z waty i takąż sama czuprynka nad szerokim, otwartem czołem.

Nosił długi, oliwkowej barwy surdut z aksamitnym kołnierzem, atlasową kamizelkę i pantalone z strzemiączkami, na szyi jedwabną chustkę z brylantową spinką, a na palcu złoty sygnet z herbem rżniętym w krwawniku.

Zupełnie tak, jakby zstąpił z jakiego starego portretu z przed lat pięćdziesięciu..

Pani kapitanowa zimą i latem chodziła w ślafrocze, na który w ważniejszych chwilach narzucała albo szal turecki, albo pelerynkę jedwabną z koronkami; przy rękawach miała zawsze żaboty, z których jej biała, szczupła, drżąca już trochę ręka wyglądała o połowę młodziej od twarzy, pokrytej siatką zmarszczek, ale okraszanej spojrzeniem jeszcze tak żywym ciemnych, wyrazistych oczu i uśmiechem tak pogodnym, wesołym, ujmującym, że się zapominało o jej sześćdziesięciu dwóch latach, z których czterdzieści cztery spędziła w małżeństwie z „duszyczką“ Kubusiem..

Trzeba ich było widzieć razem obok siebie, kiedy szli do kościoła, trzymając się pod ramię, albo gdy wychodzili na przechadzkę przed obiadem; pan kapitan w słomkowym kapeluszu, trochę na tył głowy nasuniętym, w popielatych rękawiczkach, nigdy prawie niezapiętych, z grubą hiszpańską trzcina o dużej gałce ze słońcowej kości,

na której misternie rżnięte były ogary, ściągające odyńca, drobnym krokiem dreptał zawsze naprzód, jakby szedł nie na przechadzkę, ale z rozkazem pułkownika spieszył do głównej kwatery.

A za nim jego Franusia z torebką w jednej, z parasolką w drugiej ręce, siliła się zdążyć, udając, że jej nie męczy ten forsowny marsz za panem kapitanem.

Od czasu do czasu jednak przystawała pod rozmaitemi pozorami, niby to chustkę wyjmując z torebki, to okruszyny sypiąc wróbelkom, to z wielkimi zajęciem przyglądając się czemuś na drodze.

Mąż wówczas odwracał się do niej i wołał na cały głos:

— Ho, ho! dobrodzieje coś dziś nogi nie służą!... stare latka, stare latka.

— No, no, jaki młodzieniaszek!.. myślałyby kto, że przez rów przeskoczy — odcinała się kapitanowa.

— A przeskoczę; zaraz ci pokażę, że przeskoczę.. Poczekaj no, niech tylko rów się znajdzie. O!.. patrzaj dobrodziejka.

— Na rany boskie, Kubuś, nie... nie... Jeszcze sobie co złego zrobisz — wołała starowina, powstrzymując rozochoczonego Kubusia za poję od tak ryzykownego szaleństwa.

— Myślisz, żeby nie przeskoczył?... ho, ho! — odgrażał się staruszek — dobrodziejka w strachu, bo musiałabyś za mną na drugą stronę przelać. Prawda?... Cha, cha cha!...

Wprowadziło go to w dobry humor; prostował się, po żołniersku pierś wypinał naprzód i miarowym krokiem ruszając z miejsca, naśladował z wielką energią bicie bębna.

— Tarram, tarram, tarram - tam - tam!... tarram, tarram, tarram - tam - tam!..

Podróż do domu odbywała się już z mniejszą fantazją; wojskowy animusz opuszczał pana kapitana. Staruszkowie szli pod ramię. Ona zazwyczaj niosła pęk polnych kwiatów, zerwanych na przechadzce, albo ziela dla kanarka, on opierał się o wiele cięższe na lasce i nie przyznając do znużenia, wyrzekał czasem:

— A tydzień, zachciało ci się iść dłuższą drogą.

— Tyś pewnie zmęczony, duszyczko, przyznaj się..

— Dla czego?

— Boś poczerwieniał cały.

— A to dobrze, muszę ładnie wyglądać z runicami.

— Może siądziemy na ławeczce?..

— Siadaj dobrodziejka, ja nie, bom głodny, a obiadek czeka... Co tam dziś mamy?

— Potraweczka z kury...

— Ślicznie.

— Omlecek z malinami...

— Hm, hm, hm!..

— I ozor na szaro.

— Delicye!.. no, naprzód, marsz, bo nie wytrzymam.

Co najmniej dwa razy w tygodniu powtarzała się ta potraweczka i ten ozor na szaro ze względu na zęby pana kapitana, które tak samo, jak nogi pani kapitanowej wypowiadały służbę.

Od niepamiętnych czasów widziano ich zawsze razem, jedno bez drugiego nie ruszyło się z domu. Lekarze panu Jakubowi zalecali dużo komocji, aby się skłonność do apopleksji w nim bardziej nie rozwijała.

Ta apopleksja była utrapieniem staruszki; bała się o męża na każdym kroku, pilnowała go i nie odstępowała na chwilę.

W nocy wstawała nieraz kilka razy z łóżka, aby zobaczyć, czy jej Kubuś śpi dobrze i czy mu głowa za nisko nie spadała.

Pan kapitan miał zwyczaj chrapać niemilosiernie, ale przyznawać się do tego nie lubił.

— Ja chrapałem dziś w nocy? — mówił, szeroko otwierając oczy zdziwione, przesłyszało ci się, dobrodziejko.

— No, no, duszyczko, nie zapieraj się, przecież ci nie wymawiam.

— Ale, moja Franusiu, pozwólże, przecież ja znam swoją naturę; jak tylko chrapnę mocniej, sam się budzę i przewracam na drugi bok. Już ja się pilnuję nawet we śnie, żebyś miała spokój zemną; ho, ho! czuj-duch ze mnie.

Dzień za dniem upływał im jednakowo i toczył się, jak paciorki różańca, równo, cicho, bez zmiany.

Mieszkanko zajmowali nieobszerne, ale wygodne Staro fasonu meble stały w salonie, pokryte splowiałym amarantem, na ścianach wisiały obrazy olejne, przedstawiające Napoleona, ks. Józefa i Kościuszkę, kilka angielskich sztychów z historii biblijnej, pod oknem palisandrowy fortepian z długim ogonem, w doniczkach mnóstwo kwiatów, jak w oranżeryi, na stołach, na fotelach, bez liku robotek kobiecych, wyszywań na kanwie, patarafek perełkowych, poduszek włóczkowych ze splowiałymi kwiatami i napisem: „Dormez bien,“ lub: „Souvenir.“

Wszystko to było dziełem wprawnych i pracowitych rączek pani kapitanowej z dawniejszych czasów, wszystko przypominało jakieś ważne, uroczyste chwile, z każdym drobniakiem łączyło się wspomnienie, lada drobnostka miała swoją historią, jak w muzeum pamiątek.

Pod lustrem w salonie wisiała miniatura na słońowej kości, wyobrażająca przystojną brunetkę w niebieskiej sukni z falbanami, z puklami bujnych włosów na skroniach, trzymająca na kolanach dziecko o pyzatej buzi i dużych, ciekawie patrzących się oczkach.

Kapitan każdemu pokazywał najcenniejszy ten zabytek przeszłości, pytając:

— Widziałeś Franusię?.. to było robione w dwa lata po naszym ślubie. Przypatrz się, śliczna robotka... to sam Zamboni malował, sam Zamboni!...

Pysznił się tam jakimś Zambonim, o którym historia sztuki nie wie wiedziała, jakby co najmniej drugim Attavantem, lub Van Dykiem.

Kiedy się staruszek wpatrywał w miniaturę żony, twarz mu się dziwną lubością rozpromieniała, oczy się uśmiechały, czerwieniał jeszcze bardziej, niż zwykle, waga pokręcał, nogą zlekka przytupywał i przyciszając głos, aby go Franusia w drugim pokoju nie usłyszała, dodawał z zachwytem:

— Śliczna była kobieta!.. dziś jeszcze znać to po niej, nieprawdaż?.. w rysach zostały ślady podobieństwa. A co za cera!.. Krew z mlekiem. Coż ty powiesz, ona dotąd czyta bez okularów i ma wszystkie zęby własne!.. tak, tak...

A potem nachylając się do ucha słuchacza, dodawał tajemniczo:

— Zamboni się w niej kochał szalenie, kiedy to malował.

Wiedzieliśmy wszyscy, iż pani kapitanowa ongi należała do rzędu piękności, ale dzisiaj trzeba było wierzyć tylko miniaturze i podaniom ustnym.

Na odwrót ona przy sposobności rozwodziła się przed kobietami:

— Nie było piękniejszego mężczyzny od Kubusia, kiedy wychodziłam za niego. A mazura tańczył!.. świat się kończy. Pewna francuzka hrabina szalała za nim, ale spojrzeć na nią nie chciał nawet, tak był we mnie zakochany. Kiedyśmy byli w obozie...

I tu się zaczynały długie opowiadania o pierwszych latach ich małżeństwa, o wspólnych przygodach, o kampanii, którą młoda mężatka odbywała razem z mężem, nie chcąc się rozstać ze swym najukochańszym Kubusiem.

Jedynym bolesnym wspomnieniem była dla staruszki śmierć pierwszego i ostatniego dziecka; kiedy mówiła o niem, zawsze łzy jej stawały w oczach.

— Co to za anielski chłopak był ten nasz Lolo! — powtarzała z niewygasłym zachwytem matki — a jaki silny, zdrowy, jaki tłusćcioch, powiadam pani. Stawał już o własnych siłach. Żeby nie niańka, byłby nieboraczek chował się do dzisiaj. Pozwoliła mu niegodziwa dziewczyna rzucić się w kołysce i stawać na nóżki... kołyska była na biegunach, przechyliła się, stracił równowagę, upadł i uderzył o kant w same skronie. Na miejscu się zabił, moja droga, na miejscu!.. biedny aniołek.

Mówiąc to, ocierała oczy i szeptała coś po eichutku, jak gdyby: „świeć, Panie, nad jego duszyczką.“

W szafie, która stała przy jej łóżku, miała w osobnej szufladzie pochowane relikwie po swoim jedynaku. . . Pokazywała je czasem w dowód szczególniejszego zaufania. . . Była tam koszulka dziecka i kaftaneczek i koraliki na jedwabnym sznureczku i mały czepeczek poślódkły od starości; całe ubranie Lolo, jakie miał na sobie tego fatalnego dnia, gdy się zabił.

Najwięcej łez wszelako wydobywał z jej oczu kolorowy pajac z dzwoneczkami, który, pociągnięty za sznurek, wyprawiał pocieszne ruchy. Coś się tam w nim niegdyś zepsuło ku wielkiemu zmartwieniu kapitanowej, bo od dłuższego czasu nie chciał dzwonić więcej, a w tych dzwoneczkach, poruszanych drżącą ręką staruszki, odzywało się lube echo przeszłości macierzyńskiej, stawała przed oczyma dawno, dawno zamglona rzeczywistość. Zapominała, że czterdzieści lat minęło od chwili, gdy tą zabawką uciszała małego Lolo, widziała go znouu na łonie piastunki, rumianego, jak ja gódką, wyciągającego ku niej pulchne, czerwone łapki, słyszała powtarzane z nim rozmowy:

— Czem ty będziesz, Lolu? . . . Kapucynem? . . . nie . . . Lolo będzie oficerem, jak tatuś, prawda? . . . Lolo będzie miał mundur, amarantowe wyłogi i epolety i konika i szabelkę, jak dorośnie. Tylko musi być grzecznym, caca, nie krzyżeć, nie hałasować, kaszkę jeść na mleczku . . .

W wspomnieniach staruszki chwile te błyszczały w słońcu młodości, jak krople rosy na powiędłych kwiatkach.

— Wie pani — mówiła — miał już cztery ząbki, kiedy się zabił.

I na dowód wyjmowała w płatek jedwabiu zawinięty korzeń fiołkowy w srebrnej oprawie, poczerniały, zeschnięty zupełnie, na którym jej tylko oczy odszukać mogły ślady drobnych ząbków Lolo.

Stary kapitan pochmurniał zawsze, ilekroć się odbywały te oględziny familijnego skarbcza.

— To ją zanadto rozrzewnia — powtarzał — potem będzie cały dzień popłakiwała. Ot, biedaczka . . . Nie miała więcej dzieci, a byłyby się przydały na pociechę starości.

(Dokończenie nastąpi.)

NA NOWY ROK.

Stary rok minął niepowrotnie, z bogacającą przeszłość obfitym zbiorem więcej smutnych, aniżeli wesołych dla nas wypadków i zdarzeń. Spocznie on obok licznych poprzedników swoich w obszernym grobie przeszłości i długie może tam czasy spoczywać będzie snem spokojnym, dopóki nie zbliży się chwila, kiedy sumienny a skwapliwy badacz dziejów ocuci go z letargu, aby przed straszny, lecz sprawiedliwy stawić go sąd całej ludzkości. I wiele zupełnie nowych, dziś tylko jeszcze w pomroczonej mgłę na dnie serca i duszy spoczywających myśli i spostrzeżeń wysnuje on z tego zakwiałego kłębka różnorodnych wypadków dziejowych.

Tymczasem porzućmy na dziś przynajmniej rozgryzione myśli, troski i obawy; rzućmy w strumień zapomnienia to wszystko, co rani i zakrwawia serce, co obfite i nieukojone wyciska lzy duszy; zaliczmy to wszystko do owych, niestety! zbyt licznych i krwawych przejść życia społecznego, uważając to za oplakaną spuściznę przeszłości, a pocieszajmy się raczej błogą nadzieją nowo rozpoczynającej się, tysiące niezbadanych tajemnic w łonie swem mieszczącej przyszłości, bo z dniem dzisiajszym rozpoczynamy rok . . . nowy.

„Nowy rok!“ . . . jak wielki te dwa wyrazy zawierają

w sobie zapas nadziei i obawy, uczuć i myśli, życzeń i pragnień! Nowy rok! to dzień, w którym tłumnie gromadzą się ludzie w świątyniach, aby korne do Pana zanosić modły o powodzenie i szczęście całości i jednostek — dzień, w którym bogaty i nędzarz, uczony i prostaczek, młody i stary nową krzepi się nadzieją, nowe w duszy układa plany, nowe czuje pragnienia, bo nigdy żaden śmiertelnik powiedzieć nie może, że jest zupełnie szczęśliwym, a kto żadnych nie ma pragnień, wszelkich się wyrzekł nadziei, ten już za życia wstąpił w bramy piekła Dantejskiego! . . . Iluż to z nas, na których obliczu li tylko troski, smutek i przygnębienie wypiętnowały ponure znamie, dziś z głębi swobodniejszego i nadzieją rozpromienionego serca wołają, że dosyć już cierpień, bólów i zawodów; że nowy przecież rok nowe otworzy drogi i środki, prowadzące do lepszej, szczęśliwszej przyszłości. — To też z rozpoczęciem nowego roku niechaj i całe społeczeństwo nasze błoga rozpromieni nadzieją, że po smutnych wesołe nastaną czasy, że po burzy następuje pogoda, że i nie-szczęśliwe chwile równie są przemijające, jak szczęsne i błogie, bo życie jednostki, jako i całego narodu jest niby mozaiką, z różnorodnych złożoną kamyczków, z których jedne nęcą oko patrzącego swą piękną, jasną i żywą barwą, inne znouu dziwnie ponure na niego robią wrażenie, z całego zaś utworu przebija ręka prawdziwie mistrzowska, która umiała wykończone stworzyć arcydzieło. A więc nadzieja niechaj zawsze będzie hasłem życia naszego, lecz nie ta zwodnicza, „matka głupich“, która wątlą jest tylko siatką, utkaną z mrzonek i czczych mamideł zbyt wybujałej wyobraźni głów niedowarzonych a gnuśnych, ale raczej nadzieja rozsądna, mająca jako siłą, bo na rzeczywistości opartą podstawę to, czego woda nie zabierze, ani ogień w popioł nie obróci, ani też przemoc wydrzeć nie zdoła pracę i wytrwałość. Jeżeli bowiem pojedynczemu nawet człowiekowi, który nie chce prędeży, lub później zasłużonej doczekać się kary, nie wolno rąk opuszczać, oddawać się z lubością *dolce farniente*, lub powierzać szczęścia swego ślepemu losowi, albo też w ostatecznym razie na szczęśliwą wśród gnuśnej beczynności liczyć gwiazdę, która jego bezużytecznemu życiu przyświecać będzie: to zaiste naród, jako zbiorowość jednostek, z całym zapalem i usilnością, z całą wytrwałością i nieugiętością charakteru, z całym poświęceniem garnąć się powinien do mozolnej wprawdzie i nieustannej, ale w plonach swoich nader obfitej pracy społecznej, aby w ten sposób zaspokoić sumienie narodowe, które mu tak ciężki, a jednak tak słodki nakłada obowiązek wypełnienia posłannictwa boskiego . . . pracą i wytrwałością.

A zaiste — wielu i wytrwałych potrzeba pracowników na niwie ojczyznej, bo rok ubiegły nader obfitym był w bolesne dla nas ciosy i gromy, które krwawe po sobie pozostawić muszą ślady, a ostatecznie stać się niebezpiecznymi żywotności narodu, jeżeli zawczasu złączonymi siłami stanowczymi i zbawienymi nie chwycimy się środków. Dość jest wspomnieć kilka tylko wyrazów: kolonizacya, banicya, wynarodowienie — aby zakrwawić serce każdego Polaka i uprzytomnić mu w całej groźbie wszelkie stąd wynikające następstwa. Iluż to z naszych — ludzi spokojnych, pracowitych, którzy większą część życia na ojczyznej spędzili ziemi, pokochali ją całym sercem i duszą i w niej kości swe złożyły pragnęli, w skutek nieludzkiego prawa do obcych udać się musieli krajów, nie wiedząc, jaka ich tam — obcych wśród obcych — oczekuje dola i przyszłość! — A ta ziemia, która najsilniejszą i nieodzowną jest podstawą dobrobytu każdego narodu, jak widocznie i szybko usuwa się zpod stóp naszych, przechodząc w ręce cudzoziemców, z dalekich stron przybyłych, których nęcą obietnice i nadzieje, jakimi ich obdarza prawo kolonizacyjne. Nie dosyć na tem; domiar niedoli ma być zupełnym. To też w najnowszym czasie odebrano działwie polskiej sposobność kształcenia się w języku ojczyznej; nie wolno jej odtąd słyszeć jego brzmienia w szkołach elementarnych, nie ma odtąd do jej duszy i serca wnikać żywe słowo religii i wiary za pomocą polskiej, lecz obcej, niezrozumiałej dla

niej mowy, a nawet tej rzewnej, podniosłej modlitwy: „Ojczyzna, nie usłyszysz odgłosów w szkole w języku swym własnym.

Wielka więc, olbrzymia czeka nas praca, z usilną pomocą wytrwałością, jeżeli pod ciężkiem brzemieniem, pod naciskiem surowych praw, wymierzonych przeciwko narodowości naszej, upaść nie chcemy.

Praca i wytrwałość — oto dwa najgłówniejsze czynniki w życiu narodowym, dwa silne filary, na których bezpiecznie spoczywa rozległy gmach bytu narodowego, w którym pożądane znajdują schronienie wszyscy synowie jednej matki-ojczyzny; to pewne kotwice, które wśród najwściekszych burz i nawałnic nie pozwolą pniącym się wściekle żywiołom zdruzgotać, zniszczyć i w ciemną pogryźć przepaść nawy ojczystej. Ręczy więc i ochoczo współnemi i połączonemi siłami zabierzmy się wszyscy — każdy w swoim zakresie — do wytrwałej pracy; ona niechaj będzie odgłosem życia naszego, pociechą i osłodą wśród nieszczęśliwych, rozsądnym pohamowaniem wśród chwil szczęśliwych, jedyną i najpewniejszą ucieczką we wszelkich stosunkach życia narodowego.

Praca i wytrwałość niechaj utoruje nam drogi do zupełnego zapoznania się z domem polskim, jakim on był niegdyś w dawnych, świetnych czasach szczęśliwej przeszłości; niechaj z drugiej strony uprzytomni nam owe czarne i bolesne przejmujące karty dziejów, które nas w smutny pouczą sposób, o ile nowsze pokolenia coraz więcej wyradzały się od przodków swoich, schodziły z bitych, bezpiecznych gościnców na bezdroża i manowce, co ich ostatecznie sprowadziły z niwy ojczystej, aż się ona stała własnością obcych. Niechaj więc dzień dzisiejszy — dzień Nowego roku — będzie dniem ocknienia się z długiego letargu, bo lubo zaprzeczyć nie można, że w ostatnich czasach więcej wymownych mamy dowodów pracy i wytrwałości, poświęcenia i szlachetnego zaparcia się, nie możemy jednak ludzi się mylnym, a w skutkach niebezpiecznym przekonaniem, że wszystko i we wszelkim kierunku pożądanego doczekało się zwrotu ku dobremu. Niejednej jeszcze potrzeba naprawy, niejednego wzmocnienia tej nawy narodowej, jeżeli ku zdumieniu przeciwników a naszej chlubie, ma płynąć coraz dalej spokojnie i bezpiecznie wśród piętających się skał i burzliwych fal rozchłapanego oceanu.

Dom polski niechaj będzie tem ogniskiem, około którego wszyscy kupić się będziemy, aby się ogrzewać miłym ciepłem narodowym; niechaj z czcią przechowuje zwyczaj, obyczaj i tradycje, które stanowiły chlubę przodków naszych, niech czujnym i oglednym będzie strażnikiem narodowości, niech usuwa wszystko, co obcą jest nalciałością, co narodowi przynosi tylko niekorzyść i uszczerbek i co słuszne wywołuje urąganie nieprzyjaciół. Oby więc na zawsze przepadły te smutne czasy, których ślady tu i owdzie dziś jeszcze napotykamy, kiedy dźwięk mowy obcej milej brzmiał dla ucha polskiego, aniżeli ojczystej, — kiedy małą dziecinę obcego już uczono języka, zanim miała wyobrażenie o własnym, kiedy za wyłączne znamie wykształcenia uchodziła znajomość języków obcych, kiedy do obcych jeżdżono krajów, aby z nabytą, a niebezpieczną zdobyczą z cudzoziemczyzny do ojczystej powrócić zagrody i tutaj, wynosząc się butnie ponad innych, chwalić i słać, co obce — ganić i potępiać, co swojskie. — Usunąć z domu polskiego wszelkie szkodliwe żywioły — wprowadzić doń zamiłowanie przeszłości, języka, zwyczajów i obyczajów przodków, zróbmy, gdzie tego potrzeba, poświęcenie z osobistych korzyści, widoków i wyłącznych przywilejów, a wtenczas dom polski zachowa znamie narodowe, stać będzie niewzruszenie na silnych podstawach i dumnie stawi czoło wszelkim wysileniom przeciwników, wszelkim ciosom i gromom, skądkolwiek na niego uderzą.

Osiris.

KORRESPONDENCA „DOMU POLSKIEGO.“

Poznań, d. 28 grudnia.

Nader smutną tego roku obchodziliśmy wilią Bożego narodzenia: Radosne bowiem i wesołe dźwięki pieśni naszych kołędowych zakłócił i zamącił będący dziś w wszystkich ustach bolesny fakt, że ze szkół ludowych wielkopolskiej dziecinie usunięto zupełnie język polski, wypierając z nim równocześnie modlitwę i nabożną pieśń polską. Dziękuję się więc oplatkiem, łzami go nam przyszło skrapiać, tem więcej, że, jak zmora, uczepliła się nas obawa, iż może i rok nowy, zamiast ulg, tylko nam nowe przyniesie zawody i klęski.

Nic też dziwnego, że przy wieczerzy wiliowej w każdym domu u nas mówiono głównie o tem, co najwięcej dolega i boli: o tak zwanych ustawach i zarządzeniach antypolskich, a mianowicie o rozporządzeniu ministeryalnym, znoszącym w szkołach elementarnych naukę języka ojczystego. Możemy przytem śmiało na chwałę naszą, a mianowicie na chwałę naszych pań powiedzieć, że rozmowy te nie ograniczały się na samych jedynie biadaniach nad obecną dolą, ale że raczej powszechnie także zawczasu pomyślano u nas o skutecznych środkach zaradczych i obronnych przeciwko nowemu, groźnemu ciosowi. Nie naturalniejszego, jak że wobec niego przypomnieliśmy sobie słowa wielkopolskiego wieszczka, generała Morawskiego:

W polskich to domach się mieści
Mowy polskiej arka święta;
Stoi na niej krzyż bolesci,
Leżą krwawe ludu pęta —

i że w szlachetnej emulacji prowadzimy naukę języka ojczystego w domu i w rodzinie, co biednej dziatwie zastąpić ma szkołę publiczną, z której ten język usunięto. Ze zaś wobec nowych rozporządzeń nauka taka jest z jednej strony nieodzowną koniecznością, a z drugiej uznany powszechnie obowiązkiem tak rodziców, jak starszego rodzeństwa, nie chcę się dłużej nad sprawą tą rozpisywać. Dla ciekawych jednak dodaję, że jeszcze nigdy w Poznaniu nie zakupiono w przeciągu kilku tygodni tyle elementarzy języka polskiego, ile podczas ostatniego adwentu, tak, że księgarniom naszym tylko życzyć można, ażeby równo powodzenie, jak przy sprzedaży polskich elementarzy, miały także przy sprzedaży innych książek polskich i to nie samych kalendarzy i modlitewników.

Shczęśliwą można także nazwać myśl zakładania t. zw. kółek rodzicielskich, których celem jest staranie o to, aby dzieci członków po polsku pisać i czytać umiały. Pierwsze takie kółko zawiązało się w Poznaniu w parafii św. Marcina, a obecnie ukonstytuowaniem podobnych zajmują się także obywatele parafii św. Maryi Magdaleny i św. Wojciecha. Kółko świętomarcińskie, mimo dwutygodniowego zaledwie istnienia, liczy już dzisiaj bardzo znaczną liczbę członków, życzyć więc tylko należy, ażeby, jak co do liczby, powodziło mu się również pod względem skuteczności działania i zabiegów.

W ogóle powiedzieć można, że stary gród Bolesława Chrobrego i Przemysława wobec nowego rozporządzenia szkolnego wyprzedził wszystkie inne miasta wielkopolskie co do gotowości obrony najdroższego w świecie skarbu — języka ojczystego. Już w miesiącu listopadzie odbył się u nas walny wiec w sprawie szkolnej, a podczas świąt Bożego-narodzenia na trzech z rzędu wiecach sejmikowali obywatele poznańscy nad legalną obroną praw polskiemu narodowi przysługujących. Jak jeden mąż stanęło na wiecach tych poznańskich obywatelstwo, a co najwięcej uznania jest godnem, żadna fałszywa nuta nie zakłóciła zgody ogólnej, niejako na świadectwo, że i my Polacy zastosować się możemy do rady Rzymianina: In necessariis unitas (w sprawach koniecznych jedność.)

Jeśli kiedykolwiek, to właśnie obecnie Wielkopole, a na przedzie obywatele poznańscy wystąpieniem swem

wobec uowych rozporządzeń szkolnych okazali, że mylą się ci, którzy Wielkopolskę uważali już za „straconą pozycją.“

Święty zapał, który obecnie ogarnął nasze społeczeństwo, jako i jednomyślność, co zbratała wobec grożącego niebezpieczeństwa wszystkie stany i dokonała cudu, że wspólnie staje do obrony „z szlachtą polską polski lud,“ — one wymownie kłami zadają wszystkim tym, którzy nas uważali za niedojrzałych politycznie i skazanych na zatracenie. Jeśli zatem cośkolwiek osładzało nam smutną, tegoroczną wilią, to była ta błoga nadzieja, że Wielkopolska o własnych siłach się utrzyma, zachowując wiarę i narodowość swych przodków, pomna na słowa poety:

Póki w polskich komnat ściany
Gwar obczyzny nie zawita,
Póty próg nasz nieskalany,
Póty Polska niezdobyta.

Z resztą rok ubiegły nie tylko pod względem narodowym dał się nam we znaki. Zmniejszył się u nas także dobrobyt ogólny, tak, że do biadania nad klęskami narodowymi przyłączyły się jeszcze narzekania i utyskiwania na powszechną biedę materialną. Kupiec żali się na wielką stagnacją, spowodowaną bezustannymi obawami wojny, rolnik narzeka na tanie ceny płodów ziemnych, a rzemieślnik i przemysłowiec biada nad konkurencją fabryk, nad wolnością procederową i nad zaległymi u siebie wyrobami własnymi. Najgorszym jest jednak los biednych wyrobników i robotników dla tego, że stosunki zarobkowości zmieniły się na gorsze i trudno dziś zarobić sobie na kawałek chleba.

Takie smutne zapatrywania przychodzą mimowoli każdemu, kto podczas adwentu widział tysiące ludu naszego, proszące Emanuela w świątyniach nie tylko o zbawienie duszy, ale także o chleb powszedni. Niestety! nie wszystkim przyniosła G w i a z d k a zupełną pociechę i nie wszystkie urzeczywistniła nadzieje. Wiele łez pozostało nieoartanych, wiele bólów nieukojonnych... Przysnąć przecież należy, że majetniejsi obywatele poznańscy uczynili wszystko, co tylko było w ich siłach, aby przynajmniej najbiedniejszym z swych braci uprzyjemnić święta Bożego-narodzenia i chociaż skromnym datkiem przynieść im pewną ulgę.

W przednim rzędzie tu wymienić wypada Towarzystwo Pań św. Wincentego à Paulo, które, jak dawniejszymi laty tak i tego roku, sutą ubogim naszym urządziło gwiazdkę.

Dzięki ofiarności społeczeństwa naszego i to tak ofiarodawców z prowincyi, jak z miasta Poznania, urządziło Towarzystwo to poraz pierwszy wyprzedzić artykułów spożywczych na korzyść ubogich. Dawniejsze podobne wyprzedaje, urządzane tu ze strony obcej, niezupełnie się udawały i mało przynosiły korzyści urządzającym. Tymczasem tegoroczna wyprzedź, urządzona przez Towarzystwo Pań św. Wincentego à Paulo, przewyższyła co do rezultatu wszelkie oczekiwania, bo w przeciągu kilku godzin rozprzedano cały bardzo znaczny zapas wiktuałów, a dochód po odciążeniu kosztów wynosił w ogóle przeszło 800 marek.

Niemniej na uznanie zasługuje gwiazdka, urządzona w pierwsze święto dla biednych dzieci przez „Towarzystwo młodych przemysłowców.“ Pomnie na słowa Zbawiciela: „Błogosławieni miłośnierni, albowiem oni miłosierdzia dostąpią,“ młode to jeszcze stosunkowo towarzystwo przeznaczyło z swego funduszu żelaznego w ogóle 400 marek na ubiory, obuwie i elementarze dla przeszło 50 dzieci, przeważnie sierot.

Pominąć także nie można milczeniem gwiazdki dla biednych dzieci, urządzonej za pośrednictwem redakcyi „Dziennika poznańskiego.“ Hojniej prawie, niż po inne lata, składano w redakcyi tej na tegoroczną gwiazdkę tak datki pieniężne, jak i odzienia, tak, że przy rozdaniu darów, które dnia 1 stycznia, 1888 r. nastąpi, około 110 biednych dzieci redakcyja w ubrania i obuwie będzie mogła zaopatrzyć. Liczba to — jak na nasze stosunki — weale pokaźna, a przede wszystkim chlubnie świadcząca tak o ofiarności naszego społeczeństwa, jak o zaszczytnej gotowości do wszel-

kich usług filantropijnych i publicznych szanownego kierownika pisma pomienionego.

Tak więc — bądź co bądź — obchodziliśmy w Poznaniu i tego roku polską kolędę, a chociaż coraz to nowe na nas wałą się klęski, nie rozpaczamy, lecz z nową otuchą wstępujemy w rok nowy, życząc sobie szczerze: „D o s i e g o r o k u!“

Żegota.

Zpoza kordonu.

Nasamprzód zasałam życzenia powodzenia „Domowi polskiemu.“ Niechaj będzie on domem, zbudowanym z krwi serc naszych i z myśli naszej! Niechaj nie potrzebuje zasilac się płodami obcych narodów! — Niestety Wasze postawiły Was, ziomkowie, na widowni. Współcześni przypatrują się Waszemu zachowaniu się z uwagą, pełną uczucia i lęku, a jeśli gryzą — to Was sercem gryzą.

Bolejemy z Wami, trwożymy się o Was, choć i u nas podobnie się dzieje. Założone na karki nasze pętlce coraz mocniej zaciskają się i duszą nas.

Młodzież nasza, odsuwana systematycznie od urzędów państwowych, musi szukać chleba na dalekim wschodzie. Wszystkie instytucje naukowe bywają „oczyszczane“ z żywiołu polskiego.

Nauki, udzielanej w obcym języku, skąpią nam nawet, jakoby drogocennego balsamu, lub zdradnej trucizny. Młodzież wykształcona technicznie nie znajduje także chleba w kraju, bo przemysł tutaj spoczywa w ręku obcokrajowców, otaczających się swoimi rodakami.

Przy tem wszystkim zamykają nam usta, niewolno ani się skarżyć, ani szukać ocalenia.

Kiedy Wam wolno przynajmniej zbierać się na wiece, głośno protestować i naradzać się nad sposobami zaradzenia złemu, my skazani jesteśmy na milczenie.

Niewielka to wprawdzie korzyść z tej Waszej swobody słowa, ale w naturze ludzkiej tkwi przecież potrzeba wyłania skarg głośno. A nie tylko nasz rząd, ale sąsiedni mają „żelaznej ręki“ wymierza w nas ciosy zgubne.

Nowe cła od zboża przywały nowym jeszcze ciężarem chorobliwie nasze rolnictwo, a najsrożej zostaniemy tem dotknięci my — w Kongresówce. Północne prowincje carstwa mają bowiem Libawę, południowe Odessę, a my nic.

Ludziska mimo tego pokrzepiają się nadzieją, że, gdy złe minie, będzie znów lepiej. Jedni oczekują od skutków przyszej wojny zmian zbawiennych, drudzy pocieszają się zwykłym biegiem rzeczy ziemskich, w których po złem następuje dobre, jako dzień po nocy, jak po deszczu i błocie pogoda.

Życzę braciom wielkopolskim równie dobrej myśli przy pracy około chleba powszedniego i około dobra ogólnego. Nie nadwątlajcie serc zwątpieniem, nie stawajcie się przez to łatwym żerem dla tych, co Was poźreć pragną.

A przede wszystkim nie szukajcie ratunku dla siebie w czynach niegodnych Polaka! Po złożeniu życzeń przejdźmy do pogadanki o sprawach bieżących.

Więc Warszawa sposobi się do świąt Bożego-narodzenia uczynkami miłosierdzia. W salach redutowych, w sklepach eleganckich równie eleganckie panie i panny sprzedają różny towar na korzyść „Towarzystwa dobroczynności.“ Mężczyźni dają grube naddatki — chociaż w analizę uczuć, towarzyszącym owym ofiarom, wdawać się nie trzeba, bo uczucie miłosierdzia niewielką tam gra rolę. — Głębie serce ludzkich trzeba jednak oddać pod sąd Boga, a na ziemi korzystać należy z wyniku materialnego owej głębi, to jest z rubli, rzucanych hojnie.

„Póki świat istnieć będzie, nie zabraknie ubogich“ — powiedział Jezus Chrystus, a słowa owe sprawdzają się ciągle.

Im więcej miłosierdzie stwarza instytucji dobroczynnych, tem większa liczba okazuje się potrzebujących. Za inicjatywą hr. Tołstojowej stworzony „Przytułek żebraczy“ nie umniejszył liczby żebraków ulicznych, a wedle spra-

wozdanía świeżego utrzymywał on 121 osób kosztem 8 tysięcy rubli w ciągu jednego roku. Nadto istnieją w Warszawie: „Schronienie dla starców i kalek“ i „Schronienie dla paralityków.“

Gazety donoszą, że jedna z pań warszawskich pragnie zapisać 200,000 rbs. na przytułki żebracze, jako stały fundusz.

Od spraw miłosierdzia przejdźmy na pole medycyny. Przed miesiącem przebywał w Warszawie czasowo p. Julian Ochorowicz, a doświadczeniami magnetyzmu, zastosowanymi do leczenia, obudził najżywszy interes. Potrafił on np. zamówić cierpienie (czkawkę bezprzebraną) na przeciąg tygodnia. Chora uspiońska nie wiedziała o niczym, po zbudzeniu mimo to przez cały tydzień ani razu czkawki nie miała. Magnetyzer zatem powtórzył zakaz na parę miesięcy, a cierpienie dotąd nie wraca.

Zdaje się, że na tej drodze wyjaśni się wszelkie zażegnania i zamówienia znachorów, owozary i czarownic czyli „ciot“, jak mówią Wielkopolanie, i tym podobne zjawiska, na które patrzeliśmy nieraz z podziwem, nie mogąc ich zrozumieć.

Doświadczenia p. Ochorowicza zgorszyły wielce prasę postępową. Jedno z pism nazwało go „znachorem, wyzykiwaczem łatwowieerności ludzkiej, człowiekiem wykolejonym.“ Inne dzienniki stanęły w obronie napastowanego — walka zawrzała.

Należałoby raczej uspokoić rozciekawione gorączkowo umysły artykułami treści naukowej; jeden „Przegląd Tygodniowy“ zdobył się na coś podobnego. Dr. Władysław Chodęcki postarał się objaśnić, w jakich wypadkach siła magnetyczna może znaleźć zastosowanie w terapii. Niezawodnie głównie w chorobach nerwowych, histeryach, paraliżach skutki podmiotów hipnotycznych okazują się zbawienne, ale samo bezcelowe usypianie oddziaływa źle na organizm.

Walka obu „Kuryerów“, „warszawskiego“ z „codziennym“, wychodzi na korzyść publiczności. Obaj rywale starają się bowiem przypodobać swej damie coraz to nowymi pomysłami. „Kuryer warszawski“ rozszerzył treść informacyjną i na tym punkcie pobija przeciwnika, usiłującego przypodobać się taniocścią.

Jeśli rzeczy pójdą swoim biegiem, to obaj współzawodnicy utrzymają się na nogach z niejakim uszczerbkiem własnych kieszeni, ale z niemałą korzyścią czytelników.

W ciągu ubiegającego roku żadne nowe pismo nie powstało, ale żadne też nie upadło, a nawet zagrożony głodową śmiercią „Pamiętnik fizyograficzny“ i również wycieńczona „Przyroda i przemysł“ kroczą dalej po ciemnej drodze życia. Wydawcy zapewne „dla honoru domu“ sami piszą artykuły, sami je też czytają, ale nikt nie może zrobić zarzutu, że tak znakomite miasto, jak Warszawa, nie posiada pism naukowych.

Czy zresztą ta myśl, czy inna przewodniczy panom przyrodnikom, nie wiemy dokładnie — tylko po skutkach widzimy, że jest u nas spora garść ludzi, miłujących nauki ścisłe — dobre i to.

„Kasa pomocy naukowej imienia Mianowskiego“ puszczają także w świat od czasu do czasu książkę naukową i wspomagają ludzi, pragnących poświęcić się jakiejś specjalnej gałęzi nauk ścisłych — po ukończeniu fachowego ukształcenia.

Zarząd teatrów pod nowym kierunkiem wydobyl się z groźnych deficytów, ale pod względem artystycznym spada i spada coraz niżej. Przyszło do tego, że nie mamy lepszej dramatycznej artystki od p. Marzello Chraszczewskiej; Królikowskiego nikt także zastąpić nie może, tak dalece, że dramat stał się niemożliwym, więc też na rzadkich przedstawieniach pustki świecą przerażające. Tylko komedia salonowa i operetki bywają obsadzone znakomicie i one też tylko zyskują powodzenie.

Gdyby na tem polu wybór był przynajmniej szlachetny, ale, niestety! farsa płaska pospolicie robi kasę i otrzymuje palmę pierwszeństwa.

Nie potrzeba powtarzać, jak takie rzeczy obniżają

smak publiczności, narowiają ją, że się tak wyrażę. A co dziwniejsza, że dramat przyciąga zwykle publikę uboższą, szukającą miejsc na galeriach, a farsy obrzydliwe zapełniają łóż bogaczy.

Dla czegoż więc nasza arystokracja przypisuje sobie monopol szlachetnych instynktów?.....

Na niwie literackiej nie odznaczył się żaden utwór, obrazki, scenki, opowiadania zapełniają zawsze łamy czasopism.

Z książek zalecamy „Szkice“ Adama Szymańskiego i jego. Są to także opowiadania, ale pod dwoma względami mają pierwszeństwo przed innymi. Najprzód malują okolice nieznaną, a odmienne całkiem od tutajszych, bo północną Syberyę, Jakuck, Angorę i posieleńców, a powtórze autor nie jest zwyczajnym bajazetem kominkowym, ale zagłębia do głębi sere ludzkich, a wszędzie znajduje tam żrącą tęsknotę za krajem rodzinnym. P. Szymański spędził kilka lat w Jakucku, jako skazaniec, obecnie wolno mu przebywać w Rosyi. Powodzenie zachęci go niezawodnie do dalszych prac.

A. M.

Jak żyć niemowlęta i dzieci,

oraz

krytyczny pogląd na sztuczne pożywki dla tychże.

Napisal

Dr. Józef Koszutski,

lekarz kobiet i dzieci w Poznaniu.

„Mieux vaut faire soigner sa santé que sa maladie.“

Prof. J. B. Foussagrives.

„Die scheinbar so beschränkte Frage der Kinderernährung — wird für die Menschheit eine sehr vielgestaltige, zugleich eine Frage der Volkswirtschaft, der Humanität und der Sittlichkeit, im Grunde auch wieder nur eine, die Frage nach der Entwicklung des menschlichen Geschlechts.“

Dr. Ph. Biedert.

Naukę o zachowaniu zdrowia, t. z. higienę, zrujnowaną wraz z cywilizacją starożytnego Rzymu — zbudowano dopiero na początku naszego stulecia, a gdy w ostatnich lat dziesiątkach olbrzymie po całym uobczajonym świecie poczęła robić postępy, uznano ją słusznie za niezbędną część elementarnego wychowania. Ona to nietylko zdrowie, cywilizacyi podstawę stanowiącą, ma na pieczy, lecz i bogactwo publiczne podnosi. „Najdroższym kapitałem państwa i społeczeństwa jest człowiek. Każde pojedyncze życie przedstawia pewną wartość. Tej strzedz i aż do nieodwołalnych kresów w całości zachować jest nietylko przykazaniem ludzkości, lecz i ważnym zadaniem korzystającego stąd społeczeństwa.“ *)

Przy pomocy higieny i przez jej dokładną znajomość wydzieramy z rąk przedwczesnej śmierci tysiące ofiar, które dawniej dla braku nauki i doświadczenia marnie ginąć musiały.

W pracach, w różnych językach drukiem ogłoszonych i higienie poświęconych, zajmuje zwykle dość pokaźne miejsce nauka o żywieniu t. n. dyjetetyka (doctrina dietetica.) Nawet i po dziełkach dla ludu wiejskiego przeznaczonych, których u nas, niestety! dotąd tak mało istnieje, a jeszcze mniej dotarło do miejsca swego przeznaczenia i w ogóle nie znalazło odpowiedniego uzna-

*) Arcyksiążę Rudolf austriacki przy otwarciu międzynarodowego szóstego zjazdu dla higieny i demografii w Wiedniu, dnia 26 września, 1886.

nia, napotykaną na dość pokaźny dział, dyjetetykę się zajmujący. Przecież jak maluczkie znajduje tam uwzględnienie to tak ważne pytanie: co stanowi najstosowniejsze pożywienie dla dziecka nowonarodzonego, t. z. niemowlęcia, aż do końca drugiego roku życia jego — i czym mają być żywione dzieci, począwszy od pierwszego zębowania aż do następnego, czyli od drugiego aż do siódmego roku ich życia?

O cielesnem wychowaniu dzieci pisali dawniej także ludzie, którzy się poświęcali umysłowemu wychowaniu młodego pokolenia. Ci pisarze mogli być bardzo dobrymi nauczycielami i głębokimi myślicielami, ale nie posiadali znajomości składu ciała ludzkiego, ani znajomości przyrodzonych czynności ustroju naszego, ani też czynności zbacających wskutek choroby z prawideł przyrodzonych.

Obecnie spoczywa ta troska higieniczna wyłącznie w ręku lekarzy, którzy, już to pisząc, już to w jedną całość zestawiając poszczególne wyczerpujące prace o chorobach dzieci skreślone, pierwszy dział higienie i dyjetetyce poświęcają, a ceniąc życie człowieka i to bez względu na wiek jego, spełniają owo wyżej wspomniane przykazanie ludzkości. — Od czasu jak statystyka i u lekarzy potęgą się stała i bijącą w oczy i przekonującą siłą liczb na zbawienne ich poprowadziła tory śledzenia i dochodzenia przyczyn chorób i śmiertelności niemowląt i dzieci — zgodzono się i zatwierdzono: iż największą ilość tych opiece matek powierzonych istot wydziera śmierć nieubłagana skutkiem niestosownego ich żywienia.

Zestawienia przyczyn śmiertelności, przez Rüdigera, Würzburga, Wallsera, Kleinmanna, C. Meyera i wielu innych dokonane, a dotyczące dzieci w pierwszych dwunastu miesiącach ich życia utraconych, wystarczą nam na poparcie powyższego sądu. C. Meyer podał nam już w 1873 roku, iż pomiędzy 8329 w pierwszej życia wiosnie w Mnichowie (Monachium) zgasłemi dziećmi było 84,9% sztucznie żywionych, podczas gdy tylko 14,7% piersią matki, lub żywicielki karmionych uległo chorobom dziecięcym. Dr. A. Würzburg umieścił w roczniku cesarskiego urzędu zdrowia w Berlinie (Tom II. zeszyt 3—5) sprawozdanie, dotyczące śmiertelności dzieci z 1875 i 1876 roku z całych zjednoczonych Niemiec. Na sto żywo narodzonych niemowląt padało ofiarą od 22 do 71 i to zależnie od stanowiska matek i miejsca ich zamieszkania. Na księstwo Schaumburg-Lippe i powiaty Tondern i Leer przypadła najmniejsza, największa zaś liczba 71%, na Waiblingen w powiecie nad Neckarem. W Bawarii i Wyrtembergii doszła liczba śmiertelności do 45%, — w Saksonii, Brandenburgii do 50%. Wysoką a poniekąd nawet bardzo wysoką podaje sprawozdawca liczbę śmiertelności na obwód poznański, bydgoski i prowincye nadreńskie. — Sprawozdanie to, powtarzamy, dotyczy 1875 i 1876 roku.

Od tej chwili nie zabrakło na poważnych badaczach, jak: Beneke, Zweifel, Korwin, L. Fleischmann, Solera, Jacobowitsch, Wegscheider, Forster, Uffelmann, Tschernoff, Biedert, Escherich, Baginsky itd. którzy nietylko ścisłego zbadania stosunków anatomicznych narządów trawienia u dziecięcia — i to począwszy od ust jego aż do końca przewodu pokarmowego — sumiennie dokonali, ale i czynności żywotnicze t. n. fizjologiczne wszystkich w skład

tegoż przyrzędu wchodzących organów śledzili i wyświecić się postarali.

Obok tych prac sumiennych i o wielkiej wytrwałości swych autorów świadczących, pojawiły się rozliczne pisma chemików, spekulantów itp., którzy sztuczne dla niemowląt i dzieci zestawiwszy pożywki, takowe już to jako zastępczynię pokarmu matek, już to jako dodatki i poprawki mleka zwierzęcego z nie zrównanym polecali zapałem. Na ostatnich wystawach, urządzonych z okazji zjazdu lekarzy i przyrodników niemieckich w Berlinie i Wiesbaden, zapęłniały te sztuczne wyroby — o których później obszerniej pomówimy — całe police i szafy.

Prof. O Soltmann z Wrocławia podaje nam w rozprawce swej w roku 1881 i 1886 wydanej i choroby żołądka i kiszek u dzieci omawiającej, że liczba dzieci w Niemczech, skutkiem chorób przewodu trawienia zmarłych, do 60% dochodzi, i twierdzi, iż oplakany ten stan dopóty się nie zmieni, dopóki nie powstanie dla nich więcej szpitali i domów ochrony, dopóki akuszarki nie będą odpowiednio pouczane — dopóki istnieć będzie oddawanie niemowląt przybranym matkom, które tak nazwanego „wychowania“ za pieniądze się podejmują, dopóki wreszcie nie zostanie zaprowadzonym jak najściślejszy dozór sanitarno-policijny tak nad mlekiem i jego sprzedażą — jak i nad sztucznymi pożywkami dla dzieci. Na te rzeczy powinna higiena publiczna przeważnie zwracać oczy, bo główny powód chorób i śmiertelność skutkiem chorób żołądka i kiszek u dzieci, w pierwszej życia wiosnie zgasłych, stanowią błędy, przesąd, niewiedomość i lekkomyślność w wykonywaniu dyjetetyki.

„Kto dzieci chce leczyć, ten przede wszystkim musi umieć je żywić. Pożywienie jest przeważnie i środkiem leczniczym dla dzieci — a środki lecznicze pożywieniem. Pierwotzorem (prototyp) pożywienia dla niemowlęcia zaś jest mleko.“

„Mleko, tylko mleko“ stanowi krótką odpowiedź na pytanie, co dziecku na początku jego życia — jako jedyne rozumne pożywienie — podawać mamy. Żywotnictwo czyli t. z. fizjologia biegnie nam z pomocą ku potwierdzeniu tego, a przy pomocy mikroskopu chemia poucza, jakim mleko być powinno, oraz czem zastąpić je można.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

Wiadomości miejscowe.

Dowiadujemy się, że z Nowym-rokiem powstaje w Poznaniu (ul. Wiedeńska, n. 5, parter) pracownia i wyższa szkoła robót ręcznych, jako też wszelkich prac w zakresie wchodzących pod kierunkiem p. Jadwigi z Kłobukowskich Stanowskiej. Nie mogąc dla braku miejsca podać bliższych szczegółów o użytecznym tym i wszelkim warunkom odpowiadającym zakładzie w dzisiejszym numerze „Domu,“ pomówimy o nim obszernie w numerze następnym, a tymczasem zwracamy na niego baczną uwagę pań naszych i polecamy go ich łaskawym względem i poparciem.

Od redakcyi.

Wszystkim Szan. Współpracownikom, Czytelnikom i Przyjaciółom „Domu polskiego“ przesyłamy na nowo rozpoczęty rok serdeczne życzenia błogosławieństwa Bożego.

TREŚĆ: Artykuł wstępny: Dom polski. Kazimirz Jarochoński. — Dom polski. (wiersz) Józef Kościelski. — Nierozdzielni. Nowela Maryana Gawalewicz. (Dokończenie nastąpi.) — Na Nowy-rok. Osiris. — Korepondencya „Domu polskiego.“ a) Z Poznania. Zegota. b) Z poza kordonu. A. M. — Jak żywić niemowlęta i dzieci, oraz krytyczny pogląd na sztuczne pożywki dla tychże Napisał Dr. Józef Koszutski, lekarz kobiet i dzieci w Poznaniu. (Ciąg dalszy nastąpi.) — Wiadomości miejscowe. — Od redakcyi.